



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Obrączka ślubna.—Pan Piotr.—Obrona nieobecnego.—Powrót.—Narzeczona.—Gody weselne.—Ziemianki.—Ich gospodarność i oszczędność.—Życie rodzinne.—Poszanowanie rodziców.—Błogosławieństwo ich.—Pan Jan Choraży.—Pan staroście Kajetan i panna Klara.—Scena małżeńska.—Choroba.—Podróż i przebaczenie.—Kłątwa.

Hedwiga z płaczem odczytawszy ten list, z radosnem biciem serca, odpisała przez posłańca, który jej pożegnanie Płazy przyniósł, że czekać go będzie zawsze mu wierna, i tylko śmierć ich rozłączyć może.

Rój zalotników mnożył się z każdym rokiem w Porzeczu; panna powabna, posażna, w kwiecie wieku, liczyła bowiem rok dziewiętnasty życia, była miłym wabikiem. Daremnie ojciec naglił ażeby zrobiła wybór, daremnie i kochająca ją matka nakłaniała do tego. Hedwiga była niezłomną w swoim postanowieniu, wzmocniona jeszcze nadzieją, po świeżo otrzymanym liście od narzeczonego.

Piąty rok dobiegał, a żadnej wieści Płaza nie dawał o sobie; panna już liczyła rok dwudziesty czwarty wieku, a jakkolwiek nie na wdziękach i powabie nie straciła, rodzice troskali się że *siać będzie rutkę* na starość, za swój upór niesłychany.

Z Hiszpanii wielu wojaków wracało do domów: okryty ranami, daleki krewniak matki Hedwigi, pan

Piotr, który z zapadłego Polesia przedarłszy się, bił się we Włoszech, a następnie w Hiszpanii, szukał gościnnego dachu i znalazł go w Porzeczu.

Cichy, smutny, milczący, z zaszepconem czołem zjawiał się przy stole, i przebąknawszy słów kilka zaledwie, wracał do swej izdebki w oficynie, gdzie śmiał ulubioną fajeczkę, najczęściej samotnie przesiadywał dnie całe, zanurzony w zadumce.

Przypadało jakieś święto: wiele gości zaproszonych na obiad zjechało się do Porzecza i bawiło się ochoczo. Nad wieczorem wszyscy w ogrodzie, zasedli przy kawie, gdy jeden z sąsiadów, w pogawędce, wspominał Augusta Płazę, jak zmarnował ogromną fortunę, zaprzepaścił się zapewne w rozpucie, i teraz pali gdzie w piecu żydom, jako podobni mu utracysze.

Na te słowa pan Piotr najprzód zbladł jak ściana, potem zbiegło mu krwią oblicze całe, oczy zajaśniały szczególnym błyskiem, porwał się na nogi i zawołał gromkim, chociaż drżącym od wzruszenia głosem:

— To kłamstwo! to są słowa potwareze! Ja go znam, to mój dzielny, bohaterski kapitan, on mi życie ocalił, a kto się poważy złe słówko powiedzieć, zabije go jak psa podłego!

I podniósł żyłastą rękę ze ściśnioną pięścią w górę.

Hedwiga patrzyła na cichego zawsze pana Piotra z podziwem i uwielbieniem, wszyscy umilkli pomieszani: Matka tylko jej przemówiła słodkim głosem:

— Mój Piotrusiu! tylko się nie unoś!

Na te słowa wojak, odwrócił rozpalone oblicze ku niej—chwilkę się namyślał, a potem przypadając do nóg poważnej matrony, ukląkł i z rzewnymi łzami zawołał:

— Daruj mi dobra pani, moja opiekunko święta! przebaczenie, panowie bracia, ale nie mogłem wstrzymać mego oburzenia, ażeby najszlachetniejszego koleżę tak poniewierano!

Spuścił głowę nieco na piersi i nie podnosząc się

z ziemi mówił, a całe grono gości otoczyło go wieńcem w głębokiem milczeniu.

— Było to pod *Almonacid*, gorący skwar dopiekał, mój kapitan prowadził naszą kompanią do szturm na wzgórze, których bronili zacięcie Hiszpanie.

— Szedł jak zawsze pierwszy z uśmiechem na twarzy, jakby do tańca, tylko mu oczy błyszczały. Idziemy za nim, nagle on się chwieje i pada. Przybiegam,—otrzymał postrzał w prawą stronę piersi; krew buchnęła ustami.— Rozrywam mundur i z nim doktor nadbiegł z ambulansu, obwiązałem ranę.

Na piersiach, na niebieskiej wstążce już spłowiałej wisiała ślubna obrączka. Kiedy przyszedł do przytomności, gdy mu winem odwilżyłem usta, pierwszym poruszeniem jego było, że skrwawioną ręką zaczął tego pierścionka szukać, a gdy go znalazł poniósł do ust i gorąco całował.

— To twojej żony pamiątka? rzekłem smutny.

— Nie! odpowiedział słabym głosem — to mojej ukochanej narzeczonej, ale inna, jeżeli pożyję, nie będzie moją małżonką.

Zwyciężyliśmy—bitwa skończona; w cieniu drzew usłaliśmy mu wygodny spoczynek. Orzeźwiał w chłodku, głowę swoją wsparł na mojem kolanie i mówił:

— Piotrze! to najdroższa pamiątka którą wyniósł z kraju! Przysięgnij mi, że gdy zginę, odniesiesz jej wiernie...

— Przysięgam ci, mój kapitanie, ale jak jej imię... gdzie mieszka?

— Potem ci powiem, odrzekł, a teraz sen mnie morzy.

Gdzieśmy byli i jak się bili co tam gadać!.. Ja ciężko ranny do lazaretu odesłany, już dalej służyć we froncie nie mogłem, wróciłem do kraju i ot tu! umiłowilibyśmy do siebie, siedząc na łaskawym chlebie; ale mam wieści od mego kochanego kapitana, teraz już jest on pułkownikiem.

— A żyje? zapytała drżącym głosem Hedwiga,

— Żyje i zdrow jak ryba i może już wrócił do Warszawy, bo mój kolega pisze, że razem z nim jedzie, a list z nad granicy.

— Iniewiesz, Piotrusiu, imienia jego narzeczonej? zapytała pani domu.

— Niewiem, ale to musi być zająca panna, i dobre stare nasze gniazdo, bo o jej ojcu i matce, jak i o niej samej, mówił zawsze z uniesieniem.

Pan domu, ojciec Hedwigi, który z zamięszeniem czołem słuchał wszystkiego, na te słowa, rozchmurzył je i z pogodnym obliczem, kazawszy podać gąsiorek starego węgryna, nalał sobie kieliszek i zawołał:

— No! kochany poręczniku! mój Piotrusiu, już my się do śmierci nie rozłączymy z sobą! Pije najprzód zdrowie twoje, a z nim razem i twego dzielnego kapitana, a dziś pułkownika Augusta Plazy!

Matka, spoglądając teraz z podziwieniem na przemianę, to na męża, wznoszącego takie zdrowie, to na córkę drżącą ze wzruszenia i zażawioną, powstawszy i biorąc kieliszek z rąk męża, przemówiła rzewnym głosem.

— Do ciebie, Piotrusiu i ja pije! Za zdrowie pułkownika, bo tą narzeczoną jest nasza córka...

Na te słowa Hedwiga z głośnym płaczem rzuciła się w objęcia swej matki, a pan Piotr z kieliszkiem w ręku od jej kolan przesunął się do stóp Hedwigi, i z okrzykiem radosnym zawołał:

— Wiwat! zdrowie naszej ukochanej pułkownikowej! Wiwat i naszego drogiego pułkownika! Wiwat i wszystkich obecnych domowych i gości.

W tę właśnie chwilę na dworskim podwórzu zabrzmiała trąbka pocztowa, i służący przybiegł z doniesieniem, że dwóch jakichś panów co przyjechało chce się widzieć z panem poręcznikiem.

Pan Piotr zerwał się na nogi i biegł co sił starczyło; wszyscy z podziwieniem na siebie spoglądali. Wkrótce ukazał się nieznanym młody oficer, który zbliżywszy się z pokłonem do państwa z Porzecza, przemówił dzwicznym głosem:

— Mój pułkownik Plaza, składając swe uszanowanie, oczekuje na pozwolenie, aby się mógł przedstawić...

Ojciec Hedwigi niezwykle wzruszony odrzekł.

— A to ceremoniant pan August! Dalej, panowie, z pełnymi kieliszkami na ganek! Powitajmy kochanego pułkownika starą pieśnią, którąśmy dawniej razem śpiewali:

"Pije Kuba do Jakóba,
Jakób do Michała".

Na to hasło, za przewodem pani domu, poszły zebrane damy: Hedwiga, czując się jak w zaczarowanej krainie, postępowała prawie bezprzytomna.

Kiedy zebrane całe grono stanęło na obszernym ganku i gospodarz zaintonował pieśń znaną, z której dopiero dwa wiersze prześpiewał, z oficyny wybiegł pan Piotr, wiodąc za rękę Augusta, który jakby ztrwożony, ze spuszczeniem oczyma, szedł ciągniony prawie przez swego koleżę. Ale śpiew wesół go orzeźwił, radośne oblicza państwa z Porzecza i gości obecnych osmieliły: podniósł głowę, i oczyma szukał tej, której wierność przysięgał.

Hedwiga z promiennym spojrzeniem patrzyła się na niego, wsparta na słupie dębowym podpierającym ganek, bo by nie ustała o własnej sile, tylu wrażeniami naraz wzruszona i osłabła.

Nikt z obecnych byłby nie poznał Plazy, tak zmieniły się rysy jego twarzy. Oblicze dawniej białe z małymi rumieńcami, ozdoba pięknego młodego panicza, teraz zmieniło barwę swoją. Ogorzałe, spalone skwarem słońca, wysuszone ostremi wiatrami, nabrało wyrazu męskiego, który dobrze odbijał przy tych wypukłych, pełnych wymowy i życia niebieskich oczach — co teraz ogniem silnego uczucia zagorzały.

Kiedy się najpierw zbliżył do ojca i matki, uściślił go oboje serdecznie z głębokim rozczuleniem; zwrócił się potem do Hedwigi, ukazując na palcu obrączkę z zaręczyn...

— To moja tarcza, wyrzekł z cicha drżącym głosem, obrona jedyna, czyż nie przemówi za mną?

— Ceremonie i ceregiele na bok! zawołał sędziwy gospodarz. Piotrusiu! mianuję cię dziś marszałkiem dworu, a za tydzień pierwszym drużbą weselnym. Wyprawa od pięciu lat leży gotowa w cypri-sowych kufrach; a teraz marsz naprzód, państwo młodzi! Piotrusiu! zabrzęknij w kieliszkach a my chórem, dokończmy zaczętej zwrotki dalej:

Wiwat ty! Wiwat ja!
Kompania cała!

Stosownie do postanowienia pana z Porzecza, gdy weselne odbyły się w następnym tygodniu; po nich oddał zięciowi cały majątek swój obszerny w zarząd. Nie zawiódł tego zaufania Plaza, potrafił majątek podnieść dobrym i energicznym zarządem, i w parę lat podwoił dochody z roli, używając w pełni szczęścia rodzinnego pożytku.

Treścią pięknej powieści Fryderyka hr. Skarbka, z czasów księstwa Warszawskiego, którą w podszłym już wieku napisał p. n. *Olim* (drukowana w 1866 roku), jest także podobny marnotrawca, który w obozowym życiu przeszedłszy twardą szkołę doświadczenia, staje się godnym i zacnym obywatelem. Wątek do tego utworu wzięty, jak mi sam opowiadał, z rodzinnego otoczenia.

W ogóle, wszyscy wojacy, pokazali się jako najlepsi gospodarze wiejscy, przykładając zarówno dzielnie rękę do szabli, jak do pługa.

Cała społeczność naszego okresu od 1806 do 1830 roku, w życiu rodzinnym upatrywała cel i zadanie główne każdego w pielgrzymce światowej. Poważnie pojmowano ten obowiązek, ztąd też wynikało, że szczęście i swoboda panowały w pożyciu, albowiem czysta i prawdziwa miłość rozpaliała domowe ogniska. Przy tym ognisku nigdy niegasnącem rodziły się, wychowywały i umierały liczne pokolenia — w słotach, szarugach i burzy życia znajdując przy jego płomieniu, cichy, miły, a zawsze ciepły zakątek, rozgrzewający tak serdecznie, że rozpędzał troski wszelkie i zamięszone niedolą czoła.

Obok mężów, widzimy liczne grono matek, które w smutnym stanie wdowieństwa, tak częstego w tej dobie, zastępowały zgasyłych ojców i godnie spełniały obowiązki rodzicielskie. Ziemianki, dawały wzór rozumu i energii w zarządzie gospodarstwa wiejskiego, gdy ten ciężar spadł na ich barki, a dołączały do tego przymiot wielki, oszczędności, o której wyobrażenia nie mieli ich mężowie.

Pani dworu, umiała oszczędność pogodzić z gościnnością i dostatkiem w domu, gdy szlachcie nie pojmował jej, jak tylko w brudnym skąpstwie. Gościnność; niewiasta polska, łącząc z pociągającą uprzejmością, umiała każdemu pobyt w swych progach, ale jej przyzwoite oznaczała szranki: ziemianin tych granic nie znał, gorący w popędach serca, stawał się hojnym nad miarę, a w rozczuleniu swoim przechodził prawie zawsze w marnotrawstwo. Ztąd — kiedy zarząd cały domu spoczywał w ręku niewieściem, nadużyć nie było, i goście przy zastawnych stołach nie tracili przytomności, ale w miarę, dostatek przyjęci, przy najradośniejszym uczuciu, opuszczali dwór dla nich zawsze miły. Szlachcie przeciwnie, czuł się wesółym i szczęśliwym dopiero wtenczas, kiedy *panów braci*, czy sto krewniaków, czy sąsiadów i przyjaciół spoili tak dobrze, że leżeli pokotem, nie mogąc poruszyć, jak wtedy mawiano *ani rączką ani nóżką*, a on, nad nimi z całą przytomnością potrafił zatryumfować.

Wypadki, przez jakie kraj przechodził, ubożyły fortuny ziemiańskie, długie obciążały każdego nie-mała, z których wybrnąć prawie nikt nie zdołał; jakież przecież znajdujemy budujące a liczne przykłady ratunku od zagłady gniazda rodzinnego? Oto, gdziekolwiek niewiasta wzięła zarząd majątności, czy to w czasie kilkoletniej niebytności męża, czy jako wdowa, zwolna, zjawiał się nowy ład nieznanym, rządność, a przy oszczędności, co:

"Składała ziarko do ziarka
Aż zrobi się miarka".

żaden nowy dług się nie pokazał, ale dawne grzechy z każdym rokiem ubywały. Mamy tu na myśli niewiastę polską w znaczeniu jej właściwym, wychowaną nie podług mody ówczesnej, ale w tradycji przodków swoich; boć przyznać musimy, że resztki kobiet, jakie pozostały ze smutnej pamięci epoki Stanisława Augusta, które blisko z dworem żyły, rozrzutnością i marnotrawstwem odznaczały się podobnie jak ich ojcowie i mężowie.

Życie rodzinne w całej pełni rozwinięte, cechowało się głębokim poszanowaniem ojca i matki, trzymając się starej przypowieści:

"Jako ty rodzice swoje,
Tak cię uczęzą dziatki twoje".

W staropolskich domach, syn jakkolwiek pod wąsem, a nawet żonaty i dietny, nie śmiał zwierzyć się przed ojcem w pokój; błogosławieństwo rodzicielskie dla każdego z dzieci było najpożądanejszym darem i szczęśliwą wróżbą na przyszłość.

Żadna z dziewięć polskich bez niego nie wstąpiła na stopnie ołtarza do ślubu, a jeżeli która, lubo tego były nadzwyczajne rzadkie przypadki, ulegając namowom ukochanego, dała się wykraść i potajemnie ślub wzięła, po chwilach zachwytu, rozczarowana wkrótce, uczuwała cały ciężar zgryzoty, gdy przypomniała sobie domowe gniazdo, żal i boleść ojca i matki, smutek rodziny, której się wyrzekała nierozważnym postępkim, może na zawsze. Miłość najszczerzejsza nawet kochającego męża, nie potrafiła zatrzeć zgryzoty, która truiła jej każdą chwilę życia, a kiedy została matką, tem większe uczuwała strapienie, stawiając się sama w miejscu własnych rodziców, gdyby dziecina, którą kołysała, równie się jej odwdzięczyła.

Głośną w owej dobie stała się przygoda w powszechnie szanowanej rodzinie *Jastrzębców* z Powiśla.

Pan *Jan Choraży*, jak go tytułowano, był zamożnym obywatelem w Krakowskim, miał kilkoro dżiatwy, a najstarsza panna *Klara* kończyła rok ośm-nasty, i świeżo co wróciła z Warszawy od rodzonej jego siostry pani Szambelanowej, która stale w stolicy przemieszkowała. — Dwa lata pobytu pod jej opieką, nadało młodemu dziewczęciu wiele oglady salonowej.

Dwór pana Chorażego słynął z gościnności: on sam, już szósty krzyżyk zaczynając, znanym był ze szlachetności, dobroci serca, ale zarazem odznaczał się popędlivością. Małżonka jego dobra jak anioł, łagodna, pobożna, potulna, jedna tylko miała nad nim przewagę tak wielką, że jednym słówkiem, jednym spojrzeniem, w najwyższem uniesieniu tajał jak śnieg marewowy pod promieniem gorącego słońca.

Wkrótce po przyjeździe pierworodnej córki państwa Chorażych, pojawił się z Warszawy zalotnik, który potrafił już zyskać jej serce, w czasie pobytu u ciotki w tem mieście.

Młody, przystojny, chociaż zanego charakteru, ale nie podobał się panu Chorażemu z tego, że dużo *paplał* po francuzku, i *estymy* należnej starszemu wiekowi nie znał.

Na oświadczyzny jego o rękę panny Klary z surowym obliczem odpowiedział, że nie może oddać swej córki nieznanemu sobie dobrze człowiekowi, który wbrew przyjętym zwyczajom, sam się oświadcza, nie zjednawszy sobie poważnego *swata*, któryby dał rękąjmię przyszłego postanowienia.

Pan *starośc Kajetan*, ów zalotnik dostawszy tak stanowczą odprawę, żywy i obrażony w swej miłości własnej, burknął słowo gniewne i ukłoniwszy się chłodno odjechał, co pana Chorażego tak rozgniewało, że poprzysiągł iż nigdy taki *chłystek* zięciem jego nie będzie. Panna Klara, tała swe łzy i rozpacz, a matka nie śmiała się wstawiać za córką, widząc taką zawziętość małżonka.

Nadeszła gruba jesień — noce ciemne i wietrzne: w połowie listopada psy, domowe stróże, o północy nadzwyczaj ujadły, a nazajutrz rano pani Chorażyna z przestrachem sobie dowiedziała, że najstarszej pannieki niema we dworze.

Drżąc jak w febrze doniosła o tem nieszczęściu mężowi. Pan Choraży rozesłał dworskich i krewniaków na wszystkie drogi i gościnie. Ślad był wyjazdu po za ogrodem, ale i ten zaginął w pobliskim lesie.

Od tej chwili osowiał, ponuro na wszystkich spoglądał, ale i milczał. Parę dni oboje z żoną nie nie jedli, matka zalewała się rzewnymi łzami, ojciec tylko wdychał ciężko.

W końcu tygodnia pani Chorażyna otrzymała list od córki, w którym ta opisując swe poznanie ze *Starościcem* i swą miłość dla niego, błagała gorącemi słowami o przebaczenie, że posunęła się do tak nierozważnego kroku, ale widząc upór ojcowski, przekonaną że nikt go przełamać nie zdoła, nie miała innego sposobu dla swej miłości, bez której żyć nie mogła, jak opuścić progi rodzicielskie. Teraz *Staroście* jest jej małżonkiem, albowiem zaraz w najbliższej parafii za *indultem* ślub wzięli.

Jeżeli codo dobrego imienia córki zaspokajała się Chorażyna, nie śmiała mężowi pokazać odebranego listu, ażeby nowej nie wywołać burzy, i na nowo nie

zakręcić jego serca, a liczyła na czas i modlitwy swoje, że znajdzie chwilę stosowną do utulenia żalu ojcowego, i pozyszcze przebaczenie dla ukochanego dziecięcia.

Choraży wyjechał w sąsiedztwo, ale prędko wróciwszy w niezwykle gorącej, wszedł do sypialni, gdzie właśnie klęcząc modliła się jego małżonka, przed obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela.

Na jego widok powstała pomieszana i ze zwykłą słodyczą zapytała męża:

— Cóż ci to jest, kochany Jasieczku?

Choraży robiąc gwałtownie piersiami, zawołał niezwykłym głosem:

— Wiem, gdzie nasza niegodna córka ze swym podłym uwodzicielem, ja ją wydziedzicę i przeknę! Tak prze...

Na te słowa matka drżącą ręką zakrywając mu usta, zbladła jak trup, z pałającymi oczyma, przemówiła uroczysto:

— Mężu! zabraniam ci wymówić to straszne słowo, bo gdybyś je wymówił, ja bym skonała u nóg twoich, i powołała się na straszny sąd Boga!

Choraży na te słowa tak stanowczo, patrząc na jej postawę niezwykłą, tak łagodnej i potulnej zawsze małżonki, osłupiał i struchlał; cofnął się w tył kilka kroków, jakby gromem uderzony i głośnym płaczem zaryczał. Wtedy matka posadziła go na kanapie przy sobie, ujęła jego głowę w drobne dłonie, a tuląc go do piersi wyrzekła pełnym słodyczy głosem:

— Płacz! płacz Jasieczku! to ulży sercu twemu, a ja się będę modlić, aby Bóg dobry od naszego pierwotnego dziecięcia odwracał złą dolę i nieszczęście. Już ona jest żoną Starościca: wolno ci nie dać nie majątku, on się ożenił nie dla pieniędzy, ale nie wolno i przeklinać, bo by nas i resztę naszych dzieci Bóg srodoż ukarał.

Choraży po długim rozżaleniu, z wolna się utulił na piersiach ukochanej małżonki, potem ucałował jej ręce, i nie wyrzekłszy słowa wyszedł powolnym i chwiejącym się krokiem.

Odtąd przez rok prawie cały nie wspomniła nawet Chorażyna znikłej córki, zabroniła dzieciom w obecności ojca wspominać jej imienia, lubo ten rozkazał, ażeby nakrycie dla Klary po dawnemu było zawsze u stołu. Po modlitwie, którą zwykle odmawiał przed obiadem i wieczerzą, spoglądał na puste miejsce, wdychał, ale zaraz zagadywał obecnych.

Nadechodziły święta *Bożego Narodzenia*, stół sianiem zasłano do *Wigilii*, a gdy pierwsza gwiazdka zabłysła na niebie, Choraży połamał się opłatkiem z żoną, z dziećmi i domownikami, i kiedy swoim zwyciężając żegnał w około, nad pustem nakryciem nieobecnej córki zrobił krzyżyk święty i kawalek opłatka, pocałował go ze łzą w oku, położył na jej talerzu.

Na ten widok matka zerwawszy się pobiegła do męża, porwała jego rękę, a całując serdecznie z cicha wyrzekła:

— Dajesz mi szczęście, skarb duszy, bo spokój.

Choraży przytulił znowu małżonkę nie odrzekłszy słowa. Nazajutrz posłaniec z listem jej gnał co siły do pani Starościcowej. W kilka dni wrócił, ale widząc smutne przywiozł nowiny, bo z błędem obliczem wybiegła Chorażyna do męża, i tegoż dnia krytymi saniami mając konie rozstawne, byli już w drodze.

O pięć mil w ustroni pod lasami, w modrzewiowym dworku, jaśniały okna od ognia kominkowego i świec jarzących. Na ganku był ruch niezwykły. Tu mieszkała Klara z mężem, ale teraz złamana ciężką chorobą, walcząc ze śmiercią, spoczywała na łożu.

Dwóch doktorów z cicha się naradzało, a wątpliwość na ich obliczu malująca się, niewiele robiła nadziei, gdy sanie Chorażych zadzwoniły przed gankiem dworku.

Z jaką radością Staroście powitał niespodziewanych rodziców, z pełną czcią, uszanowaniem i pokorą, pochylił się do kolan ojca, który go bez wachania uściśnął serdecznie i pocałował. Doktor przyjaciel domu Starościców, dowiedziawszy się o tym przyjeździe, wybiegł na spotkanie i z rozpromienionym obliczem zawołał:

— Teraz, mam w Bogu nadzieję, ocalemy naszą córkę; gdy zobaczy ojca i matkę, to będzie dla niej najlepszym lekarstwem.

Pani Klara, po kilku nocach bezsennych, zasnęła właśnie snem twardym; rodzice pokrótce spoczynku udali się do sypialni córki, gdzie w kącie stała kołyska z małym chłopczyką co dopiero miesiąc życia rachował.

Oboje weszli po cichu na palcach; matka usiadła w głowach chorej, a Choraży na małym stołeczku przy kołysce wnuka, spoglądając z radością na uśmiechającą się twarzyczkę drobnej dzieciny.

W komnacie tej, suty ogień gorzał na kominku, mile grzejąc i oświecając jasno wszystkie zakątki.

Chora, pokrzepiona snem długim z wolna się budzić zaczęła, roztwarzała oczy, i pierwszy widok, jaki ujrzała, była to postać sędziwego jej ojca, zapatrzonego we wnuczka, jak go kołysał, z obliczem pełnym radości. Spojrzy obok, matka siedzi i modli się z książką.

Podniosła głowę — przetarła oczy; brała to bowiem za widzenie senne, ale obiedwie postacie nie zniknęły; wtedy z cicha zaczęła się modlić i prosić Boga, aby to zjawisko było rzeczywistym.

Na cichy szepit i poruszenie córki, matka powstała, położyła rękę na jej gorącym czole, i serdecznie pocałowała, kładąc palec na ustach w znak milczenia, bo Choraży, przy śpiącym wnuku, z utrudzenia w podróży i wzruszeń, które taił w sobie, w ciepłej izdebce zaczął smacznie drzeć.

W cichej rozmowie z matką, dowiedziała się o wszystkim, lży jej ulgę przyniosły i uspokoiły, a gdy Choraży ocucił się ze swej drzymoty, Klara wyciągnęła doń swe rączki i ojciec z serdecznym uściskiem, obłąkane dziecko swoje do zbolalej piersi przytulił.

Przepowiednia doktora ziściła się wkrótce, bo chora z każdym dniem przychodziła do zdrowia, i w ciągu tygodnia powstała z łoża. Choraży poznawszy bliżej zięcia, widząc jak kocha swą żonę i syna, że córka z nim szczęśliwa, zasłyszawszy nadto wielkie o nim pochwały od licznych sąsiadów, którzy po ozdrowieniu Starościcowej nawiedzali ten gościnny dworek — z serca wszystko przebaczył, sprowadził do siebie, a w rok później wypuścił mu jedną z wiosek swoich w dzierżawę.

Kiedy się raz nad przymiotami zięcia swego rozdził przed żoną, ta mu ze zwykłą dobrocią mówiła:

— Wszystko ci przebaczę mój Jasieczku, ale zraniłeś serce moje srogim wyrzutem, żem to ja źle wyślowała Klarcie, iż się dała wykraść...

— *Mea culpa! Mea culpa!* odrzekł Choraży bijąc się w piersi.

— A wiesz co było powodem że się trochę zepsuła nasza córka? to pobyt dwuletni w Warszawie u twojej pani siostry. Tam się rozromansowała, tam naczytała romansów i w głowie się przewróciło. Ja sama płakałam jak mi zaczęła opowiadać treść z jakiejś *Galatei* to z *Estelli* to znowu z *Paula i Virginii* ¹⁾. To tak powiadam ci, chwyciła za serce, że człowiek głupiej i płacze. Tam też jej serce rozmiękło, a gdy zapomniła jak to się w domu po Bożemu żyje i pracuje, a nie czyta głupich romansów, ot gładyś się udał, i przyszło wielkie nieszczęście, które tylko Bóg łaskawie od nas odwrócić raczył.

Choraży słuchał z pokorą, słowa nie odrzekł, tylko bijąc się w piersi silną pięścią ciągle potwarzał:

— *Mea culpa! Mea culpa! Mea maxima culpa!*

A potem całował ręce swojej ukochanej małżonki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

AKACYA.

Młodości ognie i młodości płacze

Grały mi z oczu twych, z uścisku ręki,

Czy cię zobaczę, czy cię nie zobaczę,

Dzięki za chwilę uniesienia—dzięki!

¹⁾ *Galatea* (Warszawa 1801 r.) *Estella miłości pasterskiej*, (przełożył Jan Nowicki, Kraków 1796). Było to romanse *Floryana* wiele wzięte w tej dobie. Ogromne miała powodzenie powieść z angielskiego tłumaczona przez M. Skoraszewskiego i drukowana w Warszawie 1805 r. p. n. „*Paweł i Marya kochankowie jakich mało*“.

Choćby to tylko było urojenie,

Że dla mnie błyszczą skry i lży w twem oku,

Ja mojej wiary w szczerość ich nie zmienię

I kąpię duszę w wiosny twej uroku.

Pomnisz—jak słońce patrzyło ogniście

Na bluszcz, co pnąc się o powoje trąca,

Z boku akacya roztaczała liście,

Jak ty wysmukła i rozkwitająca?

I w mej jesieni tłą zorzy rumieńce,

I błyska srebrny księżyc na lazurze,

Tęsznią na grobach białych kwiatów wieńce,

Jest ruń na skibach, mkną chmury i burze—

Lecz mnie kołty wiosny twojej wdzięki!

Rodzinne technieniem w smętne dnie tułaczę

Dzięki za chwilę uniesienia—dzięki!

Czy cię zobaczę, czy cię nie zobaczę.

Włodzimierz W.

HISTORYA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Janasz Korczak prawie cały czas przy kolebce jechał konno, pannie tłumacząc co rozumiał i ukazując co mu w oczy wpadło.

Kawalkata była pańska i ludzie jej z gościńca ustępowali chętnie, kłaniając się nisko...

Na popasach i noclegach, gdzie tylko kościół znalazł ksiądz Żudra zachodził na plebania lub do klasztoru dostając języka, a często i serdeczne przyjęcie.

Tak znacznieszą część drogi odbyto i Wołyn przejechała Miecznikowa szczęśliwie. Zbliżono się do granic Podola i do Gródka. Konie trochę były znużone, więc w Starym Konstantynowie dzień spocząć zamierzano. Kraj okoliczny, żyźny i piękny, podobał się wielce, mniej miścinia licha, w której tylko zamku reszty, dominikański i kapucyński klasztor całą były ozdobą. Dom zajęto w rynku i rozgościli się swobodnie oddychając, a też i deszcz jesienny, który długo wisiał nad niemi, lać zaczął... Ks. Żudra nie zważając nań poszedł zaraz do ks. Dominikanów.

Było to nad wieczorem. Przeora znalazł w domu, a trafem dziwnym był nim dawny znajomy, niegdyś żołnierz także, którego potem w habicie spotykał ks. Żudra—ks. Jacek Zajac.

Zobaczywszy go aż się Przeor przeżegnał.

— A ty tu ojciec co robisz? wszelki duch pana Boga chwali? Zkądś się wziął.

— Z deszczem spadłem, śmiejąc się odparł Kapelan.

Posadziwszy go tedy i lampeczkę wina kazawszy przynieść, począł dopytywać ks. Zajac... Wszyscy naówczas ciekawi byli tej wyprawy króla Jana przezwikowo niewiernym, o której sława się rozchodziła, że w lidze z innymi monarchami chrześcijańskimi zadać może cios śmiertelny potędze Turków w Europie.

Tu na kresach niemal siedząc, daleko mniej widziano co się na drugiej granicy działo, więc pytań było bez końca. O ile mógł zaspokajał je ks. Żudra.

— Ojciec najprzewielebniejszy, rzekł w końcu—dajcież mi też dopytać się u was o to czego potrzeba...

— Mów! księżuniu—odparł Przeor wesoło...

— Macie tedy wiedzieć, żem ja tu nie sam przybył i nie *per pedes apostolorum*, ale z dworem mojej pani a dobrodziejki, pani Miecznikowej Zboińskiej z Mierzejewie.

Jedziemy, mogę powiedzieć, na kraj świata. Świę-

ta i zaena jest pani nasza, ale gdy czego zapragnie, rozstap się ziemio—musi to być. Maja Miecznikowstwo z dawnych lat na samem Podola pograniczu...

— Gródek—przerwał Przeor—znam, wiem, bom tam bywał.

— Chwalaćci panie — zawołał powstając Żudra, to mi przynajmniej powiedzieć możecie co o nim i jak tam dojechać i jak tam poczynąć.

Przeor się zdawał namyslać chwilę, a Żudrze w oczy patrzył.

— Ze wszelkim respektem dla pani Miecznikowej waszej—począł—powiem wam, że prawdziwie kobiecym rozumem sobie tę podróż osnuła. Dojechać możecie, ale żebyście mieli cało powrócić! Za to nikt rozumny nie zaręczy...

— Dla czego? zawołał przestraszony Żudra ręce łamiąc.

— Dla tego że niebezpieczniejszego kąta nad ten w świecie niema. Tatarowie Lipki, włóczęgi, bandy najrozmaitszego tałafajstwa tam sobie na kraju obrali siedlisko. Cóż wy im prosto w paszczę leźć chcecie?

Zatrzymał się ks. Przeor i dodał po chwili:

— Nie macie nic lepszego do czynienia tylko wypocząwszy w Konstantynowie, w imię Boże zawrócić do domu.

— Ale to nie może być! to być nie może — rzekł ks. Żudra, trzeba znać Miecznikową — *hic mulier*, córka też dziecko prawie, ale mężnego ducha.

— Co? i z dzieckiem się wybrała? zakrzyknął Przeor dźwignąwszy ramionami. Głowyście potracili...

Niezmiernie się zmieszał ks. Żudra. — Co tu począć?

— Co począć? zawracać! mówię wam, o podróży nie myśleć! Sądziacie, że wszyscy Tatarowie poszli na Wiedeń? Zostało tej szarańczy do zbytku po rubieżach... Nieprzebrana ęma na granicach czatuje aby plądrowała...

Widząc, że Żudra głowę w rękach ukrywając mocno się zadumał, Przeor mówił ciągle chodząc i czarnego pociągając pasa, bo był dosyć otyły i miał zwyczaj go zawsze poprawiać, żeby mu do góry nie zbiegał.

— Niechcę wam próżnego czynić strachu, ale niedosyć że Gródek ten w dziurze na samutkiej granicy, a trzy zameczki też turkami poosadzone—jeszcze tam mieszka istny dyabeł, któregoście sami zainstalowali... Wiecie dla czego nigdy na Gródek napaści nie było? bo ten łotr Dorszak z Tatarami się zna, na wioski ich naprowadza, łupami z nimi się dzieli. Znają go w okolicy, a wszyscy przed nim drżą. Udając się za dziedzica Grodka, boć nim prawie jest, jeśli nie *de jure* do *de hajda* — ożenił się z córką bogatego ormianina w Kamieńcu, której tam męczeńskie z nim życie... Wszyscy o tem wiedzą... Gdyby się udało królowi Janowi Turka wypędzić precz, niejeden by rachunek z Dorszakiem przyszedł na stół do likwidacyi.

Łotr z pod ciemnej gwiazdy! zakończył Przeor... ma w tem interes, aby mu tam nikt wody nie macił, a Miecznikowa sama mu się jedzie oddać w ręce...

Co—chyba szaleństwo.

— Mój ojcze, myśmy o tem wcale nie wiedzieli, to są rzeczy nowe—zawołał Żudra... Łaska Boża i prawdziwa opatrność, żem jakiś instynktem wiedziony tu zaszedł i z wami się spotkał. To jedno ocalić nas może... Ale, mój ojcze, wy mi tego, dla miłości Zbawiciela nie odmówicie, że pójdziecie ze mną do Miecznikowej—choć to wszystko jasne, choć rozum mówi: wracajcie pókiście cali, myślicie, że ja wierzę w to, iż się ta kobieta zleknie i wróci?

Ruszył ramionami—Przeor się uśmiechnął.

— Jużciż pani rozumna...

— Daj Boże każdemu...

— Dziecko kocha...

— Rozpada się za niem... ale, mój ojcze, to córka żołnierza i serec rycerskie... Ludzie, dwór, córka, wszyscy, choć dziś na koń i na Tatara... Któż ich wie? im to jeszcze pachnąć gotowo co nas trwoga przejmuję.

— A no, dobrze, podchwycił Przeor — gdyby mieli z sobą choć z pięćset ludzi dobrze zbrojnych—a wieleż was jest?

— Wszystko wszystkiem do dwudziestu się ledwie doliczę...

Przeor głośno śmiać się począł, lampkę swoją wychylił i kładnąc rękę szeroką i pulchną na ramieniu ks. Żudry, rzekł.

— Uspokójcie się—nie damy jej zrobić tego szaleństwa. Pójdę do niej jutro sam, albo lepiej, zaproszę ją do nas na mszę świętą—odśpiewam sam wotywę na ich intencję do Ducha Świętego—potem na śniadanko do mnie... Rozmówimy się, a już ja będę wiedział jak mówić.

— Miecznik wam będzie wdzięczny—poparł Żudra. — Okrutnie był markotny... bardzo się temu przeciwiał... ale jejmości się zapragnęło, dziecku też... nie było sposobu...

— To tylko dowód, jak wy zdala kraju nie znacie, mówił Przeor... kiedyście tam sobie mogli ten utrapiony kąt wyobrażać bezpiecznym...

Rozmawiali jeszcze długo, kapelan wyszedł jak zwarzony. Msza była zamówiona na godzinę dziesiątą. Powrócił do gospody do Miecznikowej, wspominał o Przeorze, o zaproszeniu, przebaknął coś o tem, że ludzie w okolicy, do której zmierzali nie najlepiej mówią, ale szeroko się nie rozgadując, odłożył sprawę do jutra, na Przeora ją zdawszy.

Nazajutrz się szczęściem wyjaśniło zrana, zostało tylko owe nieprzebrnione błoto wołyńskie, w którym ludzie częstokroć buty gubią, tak dobrze za nogi chwytają... Zaprzężono kolebkę, bo od Rynku do Dominikanów kawał drogi był dobry, a po tarciach i ceglach przejście niewygodne.

Kościół dziś stojący ruiną, naówczas wspaniale wyglądał. Ledwie weszli doń Miecznikowa z córką, Kapelan i Janasz i służba, wnet zasygnowano na wotywę i wystąpił Przeor z asystencją przed ołtarz S. Ducha... Zagrały organy, uradowały się dusze, bo nabożeństwo było piękne i wspaniałe... Zaledwie się skończyło, a ks. Zajac przyszedł z pateną do Miecznikowej, kapelan który już wszystkie drogi znał, poprowadził do celi Przeora. Tam go nie zastali jeszcze, bo się modlił po mszy, ale śniadanie gotowem było, a niewiele poczekawszy i ks. Zajac z wesołą twarzą się zjawił, witając miłych gości i wyrażając radość, że ich w ubogim klasztorze przyjmować może.

Przyjęcie wszakże wcale ubóstwa nie oznajmowało, i owszem obfite było i okazałe... Poczęła się rozmowa wesoła...

— Mówił mi wczoraj, mój stary przyjaciel ks. Żudra—rzekł Przeor—że się pani Miecznikowa do Grodka wybrała: uszom wierzyć nie chciałem.

— A to dla czego? ks. Przeorze dobrodzieju...

— Boć to sama turecka granica, i sam zbójceki kąt, osławiony, dokąd z dobrej woli nikt by dziś się nie wybrał.

Spojrzał na panią Miecznikową, która właśnie śliwki z rożenka zdejmowała, lecz na jej twarzy najmniejszej alteracyi znaku nie dostrzegł.

— A! mój ojcze, odpowiedziała śmiejąc się—strachy na lachy... Zdaleka wszystko straszne, ale my jakoś, choć kobiety, mężne serca mamy i nie trwożym się, jak widzicie. Przeor spojrzał na Żudrę, Żudra na niego... — Żle...

— Piękna to rzecz męstwo—odparł Dominikanin ale napróżno się narażać...

— Cóż i kto nam uczynić może? zapytała Miecznikowa...

— Naprzd i droga, dojeżdżając wawozami, nie bardzo od napaści bezpieczna, mówił Przeor, powtóre—niechce mi się mówić, ale Podstarości Dorszak w złej jest renomie. Ludzie go posądzają że z zrabusiami Lipkami na jedno targuje...

— Toć dla nas bezpieczeństwo! odezwiała się spokojnie Miecznikowa, bo swoim panom nie da krzywdy uczynić...

— A myśli pani, że im tam rad ów będzie? spytał ksiądz...

Miecznikowa trochę się zastanowiła.

— Może to być—rzekła—a no — Boża pomoc i opieka nie dopuści złego. Tyle się już drogi odbyło, niewiele co pozostało, gdybyśmy stehorzywszy powróciły, śmiech by był nie mały.

— Przysnam się Jaśnie Wielmożnej Miecznikowej, przerwał Przeor, iż wolę śmiech niż płacz...

— Bóg nie dopuści!—spokojnie odparła pani Zbojńska. Jest nas kupka, ludzie dobrze zbrojni...

— Jeśli o stu Tatarów idzie—wtrącił się Janasz, ja z naszymi ludźmi stawię czoło śmiało, ani dbam, więcej zaś ich tam trudno pono teraz znaleźć, bo to się wszystko powlokło pod Wiedeń...

— Co asindziej mówisz! zakrzyknął gorąco Dominikanin. Wy tych krajów nie znacie. Mrówia tyle tam jest, że gdyby kilkadziesiąt tysięcy wyszło, dosyć na naszą klęskę zostanie. Niedawno dwie wsie w perzynę poszły, z dwóch dworów szlachtę poprowadzili w jassyr...

Miecznikowa patrzyła na mówiącego nie ułkniona...

— Jesteś tam zamek obronny... rzekła... gdyby i napadli...

— E! to byśmy się obroniły! zawołała Jadzia wesoło...

— Myśmy niedarmo żołnierskie córki i żony — dodała Miecznikowa, dałybyśmy sobie rady! A! gdybyś, ks. Przeorze dobrodzieju, naszych ludzi znał i ich męstwo, mógłbyś być tak spokojnym jak ja jestem...

Ks. Zajac tak był zdziwiony, iż mu na chwilę mowę odjęło, patrzył na te kobiety nieuleknione, słuchał spokojnych ich odpowiedzi i żegnał się nieznanie, pojąć tego nie mogąc.

Nareszcie westchnął głęboko.

— Życzę się dobrze namysleć—dodał, bo niebezpieczeństwo większe może niż się zdaje...

— I wdzięczni jesteśmy, jegomości dobrodziejowi za przestrożę — odezwiała się Miecznikowa, bo go połowa ubywa, jak skoro o niem wiemy.

Spojrzała na Janasza, któremu się oczy zaiskrzyły.

— Nieprawda, Janasz—rzekła, że nam przez to nie ubędzie serca?

— Urośnie go chyba—odparł żwawo Korezak...

— Zuwielbieniem na to patrzę—wtrącił Przeor—ale proszę o jedno. Nie wierzycie mi, albo lekko bierzecie co mówię, raczcie ludzi spytać... niech powiedzą inni...

W tej chwili po czole się uderzył.

— Za pozwoleniem—dodał—właściem w kościele widział szlachcica, którego brat u nas w nowiciacie jest, Sieniuta się zowie... Z tamtych bodaj stron jedzie... Jeśli go zastanę, poproszę go, żeby przyszedł zdać sprawę.

Ruszył się Przeor ku drzwiom i braciszkowi coś szepnąwszy do ucha,—wysłał go zaraz po Sieniutę.

Kilkanaście minut upłynęło, nim się drzwi otworzyły znowu i szlachcica wprowadzono, który przedewszystkiem Przeora w rękę pocałował, a niedaleko od progu zajął miejsce.

Osobliwa to była figura, więcej do siodła stworzona, niż do piechoty... mały, nogi miał od jazdy pokrzywione, jak dwa kabłaki, ramiona niemal tej szerokości, ile wzrost trzymał wyżyny, na nich głowa wielka, podgolona, z wąsem wiechciastym, czoło jakby trzema częściami, trzema zmarszczkami grubemi przerzniete... Ręce spadały mu niemal do kolan, a buty do nich z drugiej strony dochodziły... Gruba kurtka pasem nabijanym ściągnięta okrywała mu piers szeroko... Stać był może nie nawykł, bo się niespokojnie z jednej na drugą nogę przechylał i deptał, a że jeszcze mówić nie miał co, więc chrząkał.

— Panie Cześnikowiczu — odezwiał się Przeor, podobno wy od granicy jedziecie?

Tubalnym nieco schrypłym głosem, rozśmiał się najprzd, gładząc czuprynę, Cześnikowicz Sieniuta.

— A no! a jużciż, rzekł—co—bo to to... mosanie tego... (tu westchnął), rodzice kwaśne jabłka jedli, a dzieciom zęby cierpną... ale! mosanie. Mielśmy tam piękne dobra! a teraz na psy zesłiśmy! Ja ledwie na hutorze... a brat w klasztorze i oba goli... mosanie—ale tego!

Pogładził się po czuprynie znowu, na drugą nogę przestąpił, chrząknął i dorzucił.

— A jużciż...

— I cóż tam słyhać! spokojnie? pytał ks. Zajac...

Sieniuta się śmiać począł i głowę trzeć a chrząkać... Chrząkanie mu znać służyło do zebrania myśli...

— Kiedyż to, mosanie, tego... z pozwoleniem, w osiem gnieździe spokojnie? ale? ale?

— Ale Tatarów niema? zapytał ksiądz?

— Jak niema? Tego paskudztwa kiedyżby to nie było? Ieh niema a są? pochowają się—ale tego—w mysze dziury... a razem...

Tu szlachcic wrzasnął, aż kobiety wezdrnęły, naśladując wrzask dzieci...

— Razem... jak gradu! Trudno się było z fantastycznym panem Sieniutą rozmówić, więc Przeor wprost rzekł:

— Jasnie Wielmożna Miecznikowa Zboińska, właśnie się o to wybrała do swoich dóbr... pewnie je Cześnikowicz znasz... ten Gródek co na granicy?

— A to Dorszaka Gródek? podchwycił Sieniuta.

— To nasz Podstarość! rzekła Miecznikowa.

Sieniuta oczy mocno rozwarł i usta oddał...

— Ale tego, bąknął — a on się tam dziedzicem i panem mieni!

A co mnie do tego, niech będzie czyje chce! I ręką zamachnął...

— A bezpiecznież tam jechać? spytał ksiądz... Cześnikowicz stając z nogi na nogę, namyślał się i odchrząkiwał.

— Łgać przed J. W. panią i przed J. M. X. Przeorem najlaskawszym, u którego mój rodzony znalazł przytułek — niech mnie Matka Boska broni! — rzekł powoli. To się po Sieniucie nie okaże... Zeszliśmy na psy—niema słowa, aleśmy psu oczu nie sprzedali—ale tego... Więc powiem całą prawdę... Dorszak urwisz, a okolica—jak w pokrzywach...

Chrząknął mocniej jeszcze....

— A no, żeby dla wilka nie iść w las—to znowu, mosanie—ale tego, nie wypada... Może być termodya—może ująć na sucho... Na dwójce babka wróżyła. Człowiek się raz rodzi i raz umiera...

Miecznikowa się uśmiechnęła...

— Masz waćpan zupełną słuszość, panie Cześnikowiczu — zawołała... ja dla tego jadę właśnie, że Dorszak urwisz... boć go ztamtąd wyprzeć raz trzeba. Dziesięć lat złamanego grosza nie daje.

Cześnikowicz oczyma błysnął...

— A kutwa — ale tego, pieniędzy ma jak żyd... począł — i zkąd? Bóg jeden wie, on drugi, dyabeł trzeci... a tatar czwarty... Hm! hm!

Ruszył się bardzo żywo.

— Dokąd waćpan jedziesz panie Sieniuto? spytała Miecznikowa.

— Niby to ja? wskazując na pierś palcem, odezwał się szlachcic...

— Tak, waćpan...

— Przyjechałem brata odwiedzić, bo mi się śniło że jadł kwaśne mleko... myślałem, uchwaj Boże, czy mu się jakie nie trafiło nieszczęście... No! a złożywszy rewerencyę ks. Przeorowi i uściskawszy brata—co mam robić? Na hutor mój powrócę.

— W tę samą stronę?

— Ono to w tę samą...

— Przyłącz-że się W. mość do nas — zawołała Miecznikowa, najprzód koń i nie kosztować nie będzie, a potem, jak da Bóg do Gródka... jeszcze się coś znajdzie...

Skłonił się do samej ziemi Cześnikowicz i odezwał:

— Na powodyra zdam się — a gdyby przyszło i ognia krzesać... przecież to Sieniutów krew... nie zawiedzie... Klnę się—ale tego—i submituję...

Próżno już było i pracować nad panią Miecznikową, która pożegnawszy Przeora, zostawiając ofiarę na kościół, odjechała do gospody... dokąd Sieniuta się na wieczór stawić obiecał, oznajmiwszy, że ma samopół, pistolet i szablę...

Zaraz tedy nie czekając broń kazano w Konstantynowie opatrzyć, ludziom ładunki pobrać... a że się pod noc jaskrawo wyjaśniło, nazajutrz w dalszą podróż do dnia wyruszyć miano...

Wedle zapowiedzi Cześnikowicza Sieniuty, który z samopółem, wesa nastrzępiwszy jechał przodem, mila tylko już pozostawała do Gródka... kraj coraz się stawał dzikszym, piękniejszym, górzystszym, a droga coraz gorszą. Na tę jedną milę parę godzin dnia pozostałych nie było za wiele, gdyż wlec się musiano niemal nogą za nogą. Powymywane

ścieżyny, któremi tylko dwukołowe arby czasem się przewłókiły, na kolebkę za ciasne, pełne kamieni i dołów, niezmiernie utrudniały drogę, tak że powóz to z jednej to z drugiej strony ludzie podtrzymywać musieli i prawie na rękach unosić, aby się nie wywrócił... Zaroślami pokryte wzgórza puste się zdawały i nieme. Pactwa nawet, co je ożywiało latem, większa część odleciała. Kiedy niekiedy orzeł się majestatycznie podnosił do góry, płynął powoli, stawał w powietrzu i zdawał rozglądać po ziemi... W krzakach czasem zaszeleściło, jakby zwierze pomknęło spłoszone... i znowu cisza do koła... uroczysta... a smutna...

Miecznikowa i Jadzia ciekawie wyglądały z powozu obie... Po drodze żywej nie spotkano duszy. Zrana tego dnia jak przez brudne mrówisko przejechali obronną ręką przez obóz cygański. Rzuciła się ta dzicz pod pozorem żebrania, a w rzeczy samej dla kradzieży, na powozy i ludzi. Miecznikowa garść groszaków sypnęła, aby się pozbyć, a ludzie musieli do szabli się później brać, aby łapiących konie za uzdę przepłoszyć. Jednego luźnego, co się ulakłszy oderwał, już byli cyganie pochwytili i gnali z nim w las, gdy Sieniuta dopędził ich, dał ognia na wiatr, płazem kilku poczęstował i konia odzyskał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

O maju i jego tegorocznych popisach. — Wpływ atmosfery na człowieka, politykę i literaturę. — Pamiętniki panny Luizy Seidler. — Czasy Goethego. — Młodość autorki. — Goethe i pies podwórzowy. — Wizerunki epoki. — Początki artystycznego zawodu. — Profesor Vogel i jego teoria piękna. — Dom Körnerów. — Goethe i jego dom w Weimarze. — Dzień u niego. — Seidler w Dreźnie. — P. Teresa aus dem Winckell. — Marmury Elgina. — Wzrost księcia Sax-Gotha. — Pobyt w Rzymie. — Wspomnienie o nim. — Reszta życia autorki. — Biografia K. Pückler-Muskau przez Ludmیلę Assing. — Twórca krajobrazów nałogowy. — Ostatnie jego dzieło. — Branie. — Palenie ciał zmarłych i gorące niem zajęcie. — Nowe dzieło o Lukrecji Borgii, przez dr. Gregoroviusa. — Przedstawienia Aidy Verdiego. — Teatra niemieckie żyjące myślami francuzkami. — Molierowska wymówka.

Maj się kończy; miesiąc ten, który jeden poeta niemiecki nazywa pocałunkiem niebios z ziemią, wyglądał tego roku na nieznośną kłótnię małżeńską; uciepiali na niej kochane kwiaty, miłe drzewa, a dzienniki zapisały ten fakt do meteorologicznych roczników, że w środkowej Europie jeden człowiek zmarł — na śmierć — w maju! — Wprawdzie nie na śmierć, ale zmarliśmy wszyscy i nie mamy się prawa skarżyć nawet, gdy mało przedtem w Jerozolimie łamały się palmowe drzewa pod ciężarem śniegu, a w Teheranie pałac Szacha Perskiego zawalił się w części od niego! Od dwudziestego dopiero Boreasz zwyciężony ustąpił i porządek zwykły w powietrzu został przywróconym. A co kwiatów padło ofiarą tego złośliwego maja, tego żadne nie zapiszą roczniki... Biedne kwiaty!

I na usposobieniu a humory ludzi musiało to oddziaływać, bośmy wszyscy daleko więcej ulegli wpływom atmosferycznym, niżelibyśmy przyznać się chcieli. — Sułtan turecki, Khediw Egipski, Szach perski, pozmięli pierwszych ministrów nie dla czego innego, tylko za kwaśnego humoru, jaki tu pora wywołała. Mnóstwo literatów popsulo rozpoczęte prace w przystępie rozżalenia przeciwko elementom niemającym mniejszego względu dla wielkich ludzi; odbił się spleen w dziennikarstwie, mróz i śnieg w dramatach, zawieruchy w filozofii, słoty w poematach — a wszystko razem na giełdach europejskich które do siebie przyjąć nie mogą od Wiedeńskiego i rozmaitych innych krachów pomniejszych.

Słowem, żyjemy w nader smutnej epoce i słońce, którego oblicze jasne znowu niedoli naszej przyświeca, jeszcze nas odegrać i regularnego obiegu krwi zastygłej przywrócić nie mogło. Nie bez wysiłku przychodzi drugi liść puścić roślinom a ludziom wrócić do równowagi ducha.

Większa część „utworów“, a raczej „przetworów“ literackich, któremi Niemcy tę chłodną wiosnę ro-

zegrzać usiłowali, — treść czerpie z przeszłości, nie równie cieplejszej niż dnie dzisiejsze.

Teraźniejszość nie tylko chłód i mrozy, ale polityka wciskająca się wszędzie nader smutną i nudną czyni. Za lepszych czasów ta „spekulacja“ zajmowała się wyjątkowo ludzkie skazani na przeżuwanie tego niestrawnego pokarmu, dziś w skutku równo-uprawnienia, nawet szewcy łatają interesa państwowe... Z tego powodu może obowiązuje wcale niewymienione i nie lepszą od niego politykę europejską — w dziennikach. Ale o tem dosyć. Zwróćmy się i my do niedawnej przeszłości, szukając w niej czegoś więcej zajmującego nad sprawy powszednie dni obecnych.

Mamy przed sobą właśnie ciekawe pamiętniki znakomitej artystki, pani Luizy Seidler, z czasów Goethego, wydane przez p. Hermana Uhde, zaczerpnijmy więc z nich nieco obrazów tej epoki. (Erinnerungen und Leben der Malerin Luise Seidler, geboren zu Jena 1786, gestorben zu Weimar zusammengestellt und bearbeitet von Hermann Uhde. Berlin, Hertz. 1874—8). Wydawca tak opowiada o nabyciu rękopismów zmarłej artystki:

„Gdy w czerwcu 1870 roku, odwiedzał kocho-nych mych przyjaciół, dano mi do przejrzania pęk luźnych papierów, które długo napróżno starano się uporządkować. Były to papiery zmarłej w r. 1866 sasko-wejmarskiej nadwornej artystki panny Luizy Seidler... Treść ich składała się ze wspomnień młodościowych z klasztornych czasów Jeny i Weimaru, z listów nieznanych Goethego, notat o jego życiu domowym, o Frommanie i jego przyjaciółach, Filipie Vett'eie, Overbecku, Thorwaldsenie i t. p.“ Uderzony szczegółami, które się w tych notach znajdowały, p. Uhde przedsięwziął ich opracowanie, ułożenie i owoc swej pracy wydał obecnie jako przyczynek do historii tej chwili w dziejach literatury niemieckiej niezabytej.

Panna Seidler była wnuczką radcy konsystorza, a córką uniwersyteckiego koniuszego w Jenie (Universitätstallmeister). — Tu ona po raz pierwszy, dzieckiem jeszcze będąc, zetknęła się z Goethem, a pośrednikiem do zrobienia znajomości, było paskudne psisko, imieniem Dacke, którego szczekania znieść nie mógł Goethe, a był pies właśnie faworytem młodej dziewczynki. Okna mieszkania Goethego wychodziły na to samo podwórze zamkowe, na którym mieszkał Seidler. Skazano psa na wygnanie; Dacke zdechł wkrótce, a Luiza przypisując śmierć jego pocie, poprzysięgła mu wiekiście nienawiść. Trwała ona jednak niedługo, bo Goethe zabawom dzieci w podwórku się przypatrując, i polubiwszy towarzyszkę swojego syna, Augusta, rozbroił ją swoją dobrocią i spuszczeniem na sznurku w podwórze tortami. Nieszczęśliwy Dacke i tragiczna śmierć jego poszły w niepamięć; — panna Luiza po ukończonym wychowaniu powróciła do Jeny, i tu miała sposobność zapoznania się i uczęszczania do rozmaitych domów, między innymi z rodziną księgarza Frommana. Tu poznała ona Minchen Herzlich, jedną z wielbicielk Goethego, której nieszczęśliwe życie późniejsze, żywo maluje. Pełno w pamiętnikach ciekawych szczegółów o postaciach tej epoki, nigdzie może tak plastycznie i wiernie nie nakreślonych, jak ręką naszej artystki.

Panna Seidler czuła coraz bardziej pociąg i powołanie swe do sztuki; malarz drezdeński Roux, który się był przeniósł do Jeny, pierwszym był jej nauczycielem. Dwudziesto-letnie dziewczę, w którym się pokochał pułkowy lekarz Geoffroy miało już wyjść za niego i było narzeczoną, gdy nagła śmierć zniszczyła szczęścia nadzieję, i panna Seidler przeniosła się, szukając pociechy w pracy — do Drezn.

W galerii tutejszej obfitującej w arcydzieła, malarza, jak zwykle początkujące uczennice, z niezmordowaną pilnością kopiowała cenniejsze obrazy. Przewodnikiem jej był profesor Vogel, wielki oryginał. — „Jakbym go jeszcze przed sobą widziała, pisał autorka, tego małego, dobrego, pocieszenie z saska mówiącego człowieka — musiałam najprzód kopiować, główkę blond dziewczynki z obrazu Van der Helsta, — Vogel w czasie roboty dał mi pierwsze pojęcie o wykonaniu i pocuciu artystycznym w słowach następujących:

— Widzi panna ta rzecz musi tu być i — niepowinno jej tu być. — Fantazja powinna sobie bijać swobodnie, a gdybyś i aspanna czternaście dni je-

dno ucho malować miała, nie nie szkodzi, byle ono wszystkie uczucia wyrażało.... Widzi panna ta główka dziecinna napełniona jest uczuciami malenkimi, a madonna Rafaela, pełna w niej wirujących i kłębiących się uczuć.... i rysunków.“

Prawdę rzekłszy, nauka profesora Vogla, praktyką dopełniona być musiała, tak jakoś niejasno się przedstawia; nauczyciel lepiej pewnie malował niż mówił.

Panna Seidler wprowadzoną tu została do domu Körnerów, i w przejeździe Goethego przez Dreźnie, zbliżyła się do niego. Poeta przyjął ją bardzo uprzejmie, jeździł z nią na spacer i poświęcił jej większą część czasu. Później panna Seidler odwiedziła Goethego w Wejmarze, w czasach gdy piękna Karolina Ulrich domowi temu dodawała uroku.

„U księżęcia poetów w domu wyglądało bardzo patryarchalnie, szczególnie gdy Goethe z żoną swą i panną Ulrich, ciche wieczory spędzał na partyjce wista „z dziadkiem“, przyrzeciem i na szklaneczce ponczu nie zbywało.

„Nie znając gry, siedziałam patrząc na nią, nudziłam się często i pozwalałam sobie umyślnie przeszkadzać i drażnić, co Goethe żartobliwie, ale bez najmniejszego gniewu, przyjmował.

Przy obiadach, Goethe z Riemerem, Meyerem (którego zwano Kunst-Meyerem) i innymi gośćmi, których liczba nigdy ośmiu nie dochodziła, bywał bardzo wesoły. Jadano w małym pokoiku, którego ściany przyozdobione były rysunkami oryginalnymi sławnych starych malarzy;—jadło było bardzo proste, za napój służyło doskonałe wino burgundzkie. Przy deserze domowe panie wstawały od stołu, i „wesole kobiety wejmarskie“ jak je Goethe nazywał, jechały na spacer. August także, piękny dorosły syn jego, który przy stole brał udział w rozmowie, odchodził do innych zajęć. Panowie zaś (gdyż kobiety rzadko bywały zapraszane) siedzieli dłużej u stołu. Jak tylkośmy zostali sami, Goethe brał za przedmiot jakieś dzieło artystyczne, nad którym czynił głębokie uwagi, naprządk, bronzowego Mojżesza Michała Anioła—zmniejszonego, albo jaki utwór Canowy, lub jedno z dzieł zbioru Quandt'a, Faust'a, Cornelius'a i t. p.... Wieczór schodził niepostrzeżony aż do chwili, gdy się zwykle na teatr udawano.“

Panna Seidler malowała portret Goethego w jego „pokoju—Urbino“, i poeta był bardzo wizerunkiem tym zadowolony.—To co mówi o domu i życiu jego autorka, przedstawia nam go, jako człowieka, w najpiękniejszym świetle....

W dalszym ciągu pamiętnika następują wizerunki mnóstwa znakomitości artystycznych ówczesnych, żyjących lub przesuwających się przez ową Florencję nadelbańska.

Panna Seidler zajmowała się ciągle kopiowaniem obrazów, które jak powiada, najczęściej przejeżdżający Polacy zakupywali, równie u niej jak u oryginalnej bardzo artystki panny Theresy aus dem Winckell, która malowała, pisała, grała na arfie i deklamowała znakomicie. Domek jej nad Elbą, przyozdobiony mnóstwem własnych obrazów, zgromadzał często na wieczory liczne towarzystwo, które się popisom panny Theresy z przyjemnością przysłuchiwało. Bardzo zajmujący kreśli też panna Seidler obrazek księcia Emila Augusta (Sax-Gotha), o którym mnóstwo opowiada zabawnych anegdot. Książę lubił z drugich dowiecipnie żartować, ale żarty trafne przyjmował też wesoło i ochotczo. Artystów, literatów i ich rodzin znajdujemy tu wielkie mnóstwo, gdzie panna Seidler miała sposobność poznawania osób wielu i ciekawie studiowała każdą. Sądy są trafne, a wizerunki, życia pełne. Pobyt w domu Schelling'a, którego druga żona była jej przyjaciółką, całe towarzystwo ówczesne monachijskie, stanowi kartę ciekawą. W tych czasach właśnie marmury Lorda Elgin przywiezione zostały do Londynu, a odlewy ich przysły do Monachium, pracownia artystka zdjęła z nich rysunki wielkości oryginalu i posłała je Goethemu, który w tej chwili pełnym zapału listem jej podziękował.—Dla księcia Sax-Gotha miała polecenie osobliwsze odmalowania bóstwa Wisznu, tak aby ono zarazem wystawiało Chrystusa, ale obraz został ostrą przyjętą krytyką i nie miał się szczęścia podobać. Z pomocą tegoż mecenasa udała się potem do Rzymu (1818—1823) i tu nowy świat włosko-niemiecki poznała, którego pamięć zachowuje w notatkach.

Veit, Niebuhr, Bunsen, Schlegel, Thorwaldsen, grają w nich główne role. Nadzwyczaj rozezaruszającą jest postać Schlegla, autora Lucindy, który wcale poetycznie nie wyglądał, mówił całe życie o jedzeniu i żył tylko dla niego.

Thorwaldsen także ze swą płochością i stosunkami niezliczonymi z rozmaitych stanów plecia piękna, dziwnie się tu przedstawia, ale musi być z natury narysowanym. Znajdujemy tu jeszcze Overbecka, Eygersa, Corneliusa i wielu innych.

Trzecia część pamiętników od r. 1823 (Wejmar) do 66, już z innych źródeł przez pana Uhde została skreślona, do niej bowiem notat brakło. Panna Seidler malowała do starości liczne portrety, obrazy ołtarzowe, pastele i większe kompozycje, między innymi i Ulyssa, który pomija Syreny. Czynną też była jako nauczycielka i miała zaszczyt dawać lekcje rysunku księżniczkom Maryi i Auguste (terazniejszej cesarzowej niemieckiej). W r. 1835 mianowano ją artystką nadworną.

Pamiętniki te, będące materiałem historycznym czasu odrodzenia duchowego Niemiec, czytają się z zajęciem wielkim.

Wspominaliśmy już, jak się nam zdaje, o papierach księcia Pückler-Muskau, wydawanych przez pracownię panią Ludmiłę Assing. Druga część biografii księcia, bardzo też charakterystycznej, wyszła właśnie w Berlinie. Zawiera ona życie i sprawy oryginalną tego od r. 1829 do zgonu w r. 1871. Jest to smutna dosyć epoka życia człowieka, który się zestarzeć nie chciał i nie umiał, ale w istocie też żywość młodzieńczą wyobrażeń i uczuć zachował do zgonu. Ta walka młodej duszy z ciałem, które jej posługi odmawia, chociaż zaledwie w biografii dotknięta, jest jedną z najtragiczniejszych sytuacji, której sztuka nawet nigdy dotknąć pono nie śmiała. Tu ona zarysowuje się mglisto, ale ją odgadujemy z licznych skazówek, na których nie zbywa. Książę, jak wiadomo, był jednym z najznakomitszych twórców pejzażów. Malował on krajobrazy nie farbami na płótnie, ale rzeczywistymi drzewy, trawnikami i wodą, na piaskach Szlązka. Goethe widząc parki jego, zachęcił go do pracowania w tym kierunku, przepowiadając mu wielkie powodzenie. Książę zapaliwszy się do tego rodzaju kreacji piękna za pomocą kosztownych żywiołów, jakie nastrocza do użycia natura, włożył w upiśnienie własności swej w Muskau przeszło milion talarów. Kopano, sadzono, budowano na ogromnej przestrzeni obejmującej morgów tysiące, poświęcono gospodarstwo stworzeniu poematu żywego z wielkim smakiem, ale książę zaciągać musiał długi, żył w niestannych kłopotach i niepokoju, i naostatek zmuszonym był przepisać swą posiadłość sprzedać za 1,700,000 talarów. Po artystowsku zawierając umowę, wyrzekł się wszelkich korzyści, jakieby mu ona przynieść mogła, i w zamian zmuszonym był wziąć w znacznej sumie dobra na Szlązku, przecenione o jakie sto tysięcy talarów, położone na równinie i piaskach.

Sprzedawszy Muskau na chwilę uczuł się swobodnym, odetchnął już przeszło sześćdziesiątletni marzyciel, ale nałóg jest drugą naturą. Ukończona żona żądała, aby Branice ozdobić, on sam miał wstąpić w początki do tego, pomyśleć co Muskau kosztowało, naostatek oprzeć się niemógł pokusie i nowe dzieło rozpoczął. Piasekzysty grunt, równina, najniekorzystniejsze warunki nie potrafiły go zrazić; zaczęto kopać stawy, bić kanały, sprowadzać wodę, przesadzać całe lasy drzew starych. Przybył architekt Semper dla porady co się da zrobić z niepoczesnego zamku. Książę i jego żona, oboje starzy, pracowali nad nowym swym poematem, jak gdyby używać go mieli i długo się nim cieszyć; Branice zmieniły się do niepoznania. Tu na wyspie stawu przez niego wykopanego, spoczywają zwłoki starego dziwaka, który testamentem żądał, aby je spalono lub chemicznie rozłożono przed pogrzebaniem. W drugiej części swej biografii pani Assing opisuje szczegółowo całą historię ostatnich dni „Nieboszczyka.“

Pückler-Muskau w testamentie swym nakazując spalenie zwłok, wyprzedził dzisiejszą w tym przedmiocie agitację, która roznamietniła ciemne umysły, i po wszystkich większych miastach żywe rozbudziła rozprawy, wywołując mnogie za i przeciw głosy. W Wiedniu widzieliśmy kupy ciekawych przed szybami księgarzy, u których powyiewszano rysunki projektowanych gmachów do palenia ciał,

połączonego z religijnym obrzędem.... Słyszymy w Dreźnie o budującym się już pięciu dla prób, które się przedsięwzięć mają, a niektórzy zwolennicy palenia, już się wiążą w stowarzyszenia i obowiązują do oddania ciał swych po zgonie na spopielenie nową metodą.

Wielu lekarzy ze względów sanitarnych są za ciał paleniem, inni dowodzą, że zdrowie powszechne nieby na tem nie zyskało, a medycyna sądowa wiele straciła. To pewna, że wyziewy cmentarne są przyczyną słabości wielu, i że częste poruszenie, nawet bardzo starych grobów, sprowadza epidemie straszliwe. Idea palenia ciał staje się codziennie popularniejszą, przemawiają za nią i ci co się lekają pogrzebania żywem, choć nierozumiemy co byyskali na nowej metodzie, chyba to że przebudzenie do życia, trwałoby bardzo krótką chwilę. Wróciłyby więc stare rzymskie *Columbaria* i grobowe urny z drogiemi popioły. Kościół nie wyrzekł jeszcze nie w tej mierze, zdaje się wszakże iż innowacyi nie będzie przychylnym, przynajmniej dopóki wszelkie jej skutki rozważnie i pilno rozstrzygnięciem nie zostaną. Jaki wpływ wywarłoby to na obyczaje, obrzędy, na stosunki żywych.... jeszcze się całkiem obrachować nie daje—lecz mimo napozór małej zmiany — skutki jej odbićby się musiały daleko dalej, głębiej, szerzej niż się nam zdawać może.

Jedną z postaci historycznych, których poezya nadużyła i przetworzyła — Lucrezia Borgia — stała się przedmiotem nowych i wyczerpujących studyów, jeśli nie rehabilitujących ją i oczyszczających całkowicie, to przynajmniej znacznie z mieniących fizjonomię pięknej Włoszki. Uczony niemiecki, autor znakomitego dzieła o historii Rzymu w wiekach średnich, wydał dwa tomy poszukiwań sumiennych o Lukrecji, wyczerpiętych ze źródeł w większej części niewydanych i w archiwach zagrzebanych. Pierwszy raz ten typ, który poezya przetworzyła na coś wyjątkowego i poczwarnego niemal, w którym piękność i urok oblicza w tak strasznej sprzeczności z charakterem się objawia, występuje tu w rzeczywistym znaczeniu, jako ofiara polityki wieku. Studium dra Gregorovius'a napisane jest chłodno i beznamietnie, więcej dla wyjaśnienia prawdy, niż dla zabawy i rozrywki. Autor zaniedbał może umyślnie stronę artystyczną dzieła, ażeby nie być posądzonym o puszeczenie cudli fantazyi i amplifikacyi.

Opera Verdiego „Aida“, pierwotnie napisana dla teatru w Kairze na rozkaz Khediva egipskiego, z kolei występuje na teatrach głównych europejskich. W tym miesiącu dawano ją w Wiedniu i Berlinie. O muzyce, wcale nie zachwycającej, sądzić z pierwszego przesłuchania opery, byłoby zuchwałem, główny urok sztuce nadają piękne bardzo dekoracje i ubiory, cały stary Egipt Faraonów, wskrzeszony z archeologiczną ścisłością przez Mariett-Bey'a. Według skazówek jego wykonywano ją w Niemczech. Muzycy upatrują w niej naśladowictwo Wagnera, może chyba ochotę do niego, nie bardzo szczęśliwie urzeczywistnioną.

Na pomniejszych teatrach niemieckich przerabiania z francuzkiego, z przemilczeniem autorów, są prawie powszednim chlebem. Nie można się prawie spotkać z niczem oryginalnem. Lecz że Francuzi są niepopularni, zapożyczają się u nich wcale nie przyznając do anektowania. W ten sposób szukając charakterystycznej komedyi i poezyi niemieckiej byliśmy wielokrotnie zawiedzeni w Wiedniu. Jak to pogodzić z ową siłą i twórczością niemieckiego ducha, o której się pisze ciągle—nie rozumiemy. Trzeba by się zapożyczyć u Moliera chyba aby to wytłumaczyć, powtarzając jego: *Je prends mon bien partout où je le trouve.*

RUCH MUZYCZNY.

Szanowne czytelniczki! — wiecie co bym uczynił na waszem miejscu, gdybym w skwarny i pogodny dzień czerwcowy, rozwinawszy od niechęcenia ostatni numer *Bluszczy*, natrafił przypadkiem na ten tytuł: „Ruch muzyczny“? Oto najspokojniej i to bez najmniejszego wyrzutu sumienia odłożyłbym *Bluszczy* na stronę, i.... i pojechał na spacer do Botanicznego

ogrodu. Wprawdzie... kto wie czy i bez spaceru moje czytelniczki nieraz podobnie z Ruchem muzycznym nie postępują, przypuszczam jednak, że w innej porze roku cokolwiek rzadziej mają na to ochotę....

Smutno to, bardzo smutno, biorąc już ořę do ręki, czuć się bezbronnym; biorąc pióro, czuć że głos nasz może być głosem wołającego na puszczy — ale obowiązki sprawozdawcy zmuszają mnie niestety, wówczas nawet pisać, gdy wiem że mnie nikt czytać nie będzie — tak jak kuryerka pocztowa jechać musi, choćby bez pasażerów, byleby dojechać do miejsca swego przeznaczenia.

Jedźmy więc, i jeśli nawet z początku nikt naszej jazdy niepostrzeże, to może później, w dalszym ciągu, jakieś nazwisko, większymi wypisane głoskami, zwróci czyjąś uwagę, i skłoni do przeczytania kilku wierszy przynajmniej.

Naprzykład, *poranek pana Bolesława Domaniewskiego*, może nie zainteresować szerszego koła czytelników, ci jednak z jego przyjaciół i znajomych, którzy mu radzili wystąpienie publiczne, z pewnością zechcą przeczytać moje sprawozdanie, sądząc, że może opinia moja okaże się życzliwszą od zdań innych. Zawiodą się niestety! przekonają się bowiem, że są pewne sprawy, w których trudno by się różniły sądy ludzi, cokolwiek z przedmiotem obeznanych. W istocie, nie chodzi tu nikomu o większy lub mniejszy stopień uzdolnienia występującego, o ocenienie tego lub owego szczegółu gry — dość jest wszystko zamknąć w tej treściwej uwadze, że wystąpienie to najzupełniej było zbyt. Pan Domaniewski może ma talent; o pewnym uzdolnieniu, przynajmniej technicznym, wnioskować można było z pokonania względnie dobrego, tak trudnej sztuki jak *Erkönig* układu Liszta; ale pan Domaniewski nie jest bynajmniej artystą, ani nawet dobrym sztuki adeptem — dlatego niepodobna mu jest robić publicznych uwag, z którychby może skorzystać nie mógł jeszcze; jedna rada zdrowa, praktyczna, jest zacząć od *abecadła* pod kierunkiem dobrego nauczyciela. Po roku lub dwóch nawet, systematycznie prowadzonej pracy, może się przedsięwzięcie gmachu sztuki dla młodego debiutanta otworzyć, zanim będzie mógł do wnętrza świątyni się dostać, co znów cierpliwych i długich studyów wymaga i to od takich, którzy już na dobrą oddawna weszli drogę.

Prędzej niż do gmachu, przyrównać można sztukę do stromej góry, na której w różnych wysokościach zawieszani są pracownicy wędrowcy, mocą nadludzkich wysiłen na pewnym stopniu się utrzymujący, posuwając się niekiedy naprzód przy ciężkiej pracy, cofając się zaraz w dół za najłżejszym roztargnieniem lub opuszczeniem sił. W tym szlachetnym wysiłu zdarza się, że pozornie słabsi a wytrwalsi, zwyciężają mocniejszych; wytrwałość taka nie zrazi się chwilowym nawet upadkiem, bo przy zdolnościach i pracy wiele błędów naprawić można.

Sądźmy przeto, że dobrze zrobiła *panna Braciszewska*, chcąc niepowodzenie swoje na scenie tutejszej zatrzeć wrażeniem powtórnego koncertowego wystąpienia. Istotnie, mimo niedostatków, o których niżej powiemy, zaprzeczycie niepodobna, że wrażenie ogólne, w *porównaniu z Faustem*, było prawdziwym tryumfem dla młodej artystki, tak dalece, że dziś znów po raz trzeci stawia się poważna kwestya, czy intonacja głosu panny Braciszewskiej jest istotnie z natury swej czysta, i czy detonowanie przy wysokich nutach nie jest skutkiem niepotrzebnego wysilenia przy wykonywaniu zbyt trudnych i ryzykownych ustępów?

Z obu koncertowych wystąpień panny Braciszewskiej widoczny jest rzeczywisty talent, zrozumienie, niepospolity mechanizm głosu. Sam głos jest miły i sympatyczny, wszakże zdaje nam się, albo że nie ma on siły scenicznej, albo że został zawczasem zwichnięty przez studia zbyt forsujące. Takie np. wariacje Procha, takie niezmiernie trudne dodatki i skoki w aryi z „Cyrylika“ Rossiniego, są to rzeczy za trudne dla panny Braciszewskiej i nieodpowiednie nawet jej duchowemu usposobieniu. Gdy panna Braciszewska wykonywa rzeczy uczuciowe i poetyczne, głos jej równy i aksamitny płynie gładko; w każdej intonacji, w każdym wymówieniu wyrazu czuć prawdę, widać tę nie sympatyczną, łączącą artystkę z wykonywanym przez się utworem. Inaczej się rzecz ma, gdy słyszymy rzecz najeżoną płaskimi tylko trudnościami. Pragnąc zajaśnieć

brawurą, panna Braciszewska wpada w trywialność, pragnąc zaimponować, głos ten miły przechodzi w krzyk nieestetyczny — pragnąc zadziwić siłą której nie ma, głos ten detonuje. Sądźmy, że takie niewłaściwe przesadzenie właściwej sobie skali trudności i siły, może czasami w skutek wysilenia sprowadzić taką kompletną niepewność intonacji, jaka nas na Fauscie przejmowała dziwnie przykrem wrażeniem. Zapewne więc najlepsza rada, jaką dać można artystce jest: przedewszystkiem odpocząć, choćby nic, lub przynajmniej bardzo mało śpiewać przez parę miesięcy; następnie, oddać się dalszym studiom, ale uwzględniając zawsze wyłączenie osobiste swoje uzdolnienie i usposobienie, starać się przedewszystkiem o wdzięk, o łagodne przejścia w głosie, o *dobrą i równą gamę*, o ładne pasażowanie w pianissimach, i *nigdy a nigdy* głosu nie forsować. Tą spokojną i logiczną drogą idąc, może zostać panna Braciszewska wybora artystką, *nawet* sceniczną, lubo wolelibyśmy powiedzieć: koncertową; wtenczas może się i *prawdziwa* siła znaleźć, to jest ta, która nie idzie z naprężeniem zbytecznego — wtenczas zapewne i intonacja szwankować więcej nie będzie.

Koncert wspomniany urozmaiconym był grą panny Friedenthal. Niedawno wyraziwszy nasze sympatyczne zdanie o postępach tej młodej artystki, dodamy teraz tylko w kilku słowach, że wykonane przez siebie numera programu, oddała z wdziękiem i biegłością — wszakże nie możemy tego zamilczeć, że etuda Szopena a moll była grana za wolno, bez życia i ze sztywnością, zdradzającą więcej uczennicę niż artystkę.

Imiona dwóch młodych naszych artystek przywodzi nam na pamięć imię osoby, dla której tyle młodych i starszych talentów czuje tysiączne obowiązki czci i wdzięczności, osoby, której szczególnie nasze talenta tyle są winne. Koncert ostatni, złożony z tychże samych wykonawców, przypomni nam koncert panny Friedenthal, tak niedawny, na którym, ze zwykłym łagodnym uśmiechem, jaśniało oblicze pani Maryi Muchanow — dziś niestety! napróżno na wszystkich uroczystościach muzycznych wyglądać będziemy zjawienia się tej dostojnej damy, spoczywającej już w mogile. Śmierć jej pogodna i wzniosła, była uwieńczeniem życia, w którym inteligencja, miłosierdzie, sztuka, spletały się w trójbarwny wieniec. Liczny orszak pogrzebowy towarzyszący zwłokom zmarłej, mimo niezwyklej porannej godziny, był słabym hołdem oddanym jej zaenej działalności jej miłosiernym uczuciom, z których wypływały dobrodziejstwa, dziś już dyskrety żadnej niepotrzebujące, a tak liczne, z taką miłością chrześcijańską i przywiązaniem do sztuki świadczone. Niepodobna w kronice muzycznej nie naznaczyć zaszczytnego miejsca tak pełnej talentu amatorki, tak pełnej zapału wielbicielce muzyki, takiej prawdziwej *opiekunce sztuki*, jaką była s. p. Marya.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

Na wystawie toruńskiej przemysłowo-rolniczej, otwartej w dniu 1 czerwca, zaznaczyło się szczęśliwie kilka nazwisk kobiecych w dziale gospodarczym. Pani Julia Działowska z Turzna, otrzymała za bydło rogate: za 35 sztuk rasy holenderskiej medal srebrny (złoty nie było wcale), za 5 wolew roboczych rasy krajowo-holenderskiej i krajowo-szwajcarskiej medal brązowy. Drugi medal srebrny otrzymała za owce Rambouillet ze względu tak na mięso jak na wełnę. Dwa medale srebrne za dwie kłace: dwuletnią i sześciuletnią, oraz list pochwalny za konie robocze, czyli zsumowawszy to razem, pani ta zaznaczyła się niepospolicie wśród powinności swojej wybornie prowadzoną chodowlą zwierząt gospodarczych. W wydziale gospodarstwa, zwykłej już na pracę kobiecą przypadającego, pani Szczaniecka z Nawry otrzymała medal brązowy za trzode chlewną; listy pochwalne: Helena Donamirska za kury czarne Bramaputra; Marya Działowska za ku-

ry kochinchinjskie. Nie wiem jaki jest stosunek tej ostatniej wystawczynie do poprzednio wzmiankowanej, ale gdyby wolno było snuć na tle realnem sielanek idealną, wyobraziłabym sobie że jest to postępowo-gospodarną matką matrony młoda córka dziewczęta, która już w jej ślady wstępując, nie zużywa lat swych dziewczęcych w eleganckiej nicości nudów salonowych, ale jak śliczna Zosia Pana Tadeusza jest królową wśród skrzydlatego dworu — królową szczęśliwego, dobrego, rozumnego królestwa, które stworzyć sobie może każda matka, każda córka takiej rodziny, której los żyć pozwala wśród cichych ścian wiejskiego dworu. Ale gdyby tak puścić wodzę wyobraźni, możnaby roić a roić bez końca mnóstwo miłych, pocieszających obrazów, tak ulotnych przecież jak obłok na niebie wiosennem, lepiej zatem wracać do rzeczywistości już pewnej, przedstawić sobie jak wszystkie te panie, których nazwiska spotykają się wśród zaszczytnej listy nagrodzonych wystawców, są zacnymi, postępowymi, wykształconymi gospodyniami, które jednak w trudach tego gospodarstwa widzą jeszcze coś więcej jak zysk materyalny — widzą szlachetnie spełniany obowiązek obywatelski, obowiązek moralny utrzymania się na dostojnem stanowisku pierwszej wśród swego sioła, pierwszej wśród swojej gminy kobiety, która domowe swe ognisko robi pięknym wzorem enót rodzinnych i społecznych, obrazem ładu, porządku i harmonijnej zgody dobra z pięknem, uczuciem z rozumem, tradycją z postępem. Kobieta szuka sobie nowych dróg pracy: dobiya się z pewną dumą o nowe stanowiska społeczne, ja przecież powtórzę raz jeszcze, co już przed laty na kartach „Bluszczu“ napisanem zostało, że w tym kierunku działalności nie ma dla kobiety zaszczytniejszego miana, jak tytuł gospodyni: gospodyni wziętej nie w ciśnie, duszmem zakresie drobiazgowej krzątania między kredensem a garderobą, liczenia krup i gderania na sługi, ale tej gospodyni-obywatelki stojącej się strażniczką rodzinnego dobytku, rozdawczynią chleba, który u wszystkich ludów i po wszystkie czasy ludzkości ma znaczenie podwójne, niemal mistyczne, przez które chleb ów złamany staje się komunią duchów bratnich, zgodą wrogów, miłosną agapą synów jednego rodu. Gospodyni, to w obec rodziny karmicielka, w obec społeczeństwa podskarbini dobra, które razem wzięte stanowi majątek publiczny, jest to zatem urzędnik niemałej ważności w ekonomii obywatelskiej swego kraju. Takie też znaczenie wiązało się u nas zawsze z pojęciem gospodyni: gospodynem zwano przy zaraniu dziejów słowiańskich naczelnika pokolenia, wodza, władcę dostojnego. Gdy kobieta gospodyni chce i umie być tem wszystkiem, czem być może i powinna, otrzymuje w hierarchii społecznej weale nie niższe miejsce od tego, o które Angielka i Amerykanka dobiya się przy urnie wyborczej. Jest to miejsce wielkiego i bezpośredniego wpływu na rozwój społecznego życia swego kraju, droga do działalności, zadowolnić mogącej bardzo ambitnego ducha. Jest tak niewątpliwie u nas na wsł.

Ale odbiegłam daleko od przedmiotu, choć zawsze znajdujemy się na gruncie Wystawy Toruńskiej, i trzeba tylko uzupełnić listę nagrodzonych wystawczyń dodając, że w dziale płodów przemysłu rolnego otrzymały: p. Arndt medal brązowy za miód i jabłka; p. Helena Stalska list pochwalny za bardzo piękną bieliznę stołową własnego wyrobu.

Zbliżająca się u nas wystawa wykaże nam wśród ogólnych kraju postępów, postęp pracy kobiecej, o której tyle się mówi i pisze obecnie. Czy nie jest to u nas modą jedynie okazywać działalność w tem kierunku? oto zagadnienie, które wystawa w części rozwiąże. Okazane tu braki nie dałyby się podciągnąć pod rubrykę kobiecej skromności, bo jeżeli jest to wpływem szlachetnej skromności, aby nie zwracać na siebie oczu popisem konwencyonalnej dobroczynności, sentymentalnej uczuciowości, fałszywego artystyzmu, wystawą wreszcie osobistą przy obwieszeniu się zbyt kowną tualietą, skromność nie może przeszkadzać do tej pełnej siły żywotności, która nietylko pragnie pracować, ale chce zarazem z pracy swojej możliwe owoce wyciągać. Wystawa nietylko nam daje sposobność do poznania prawdziwej wartości pracy naszej, ale jest złożeniem chlubnego z tej pracy egzaminu przed społecznością swoją, co w niczem delikatnego uczucia skromności nie narusza. Wolno się pochłubić czynem dobrym, wolno żywić

w sobie to uczucie ambicji pocziwej, że ów czyn innych za sobą w pożądanym kierunku pociągnie. Wadą naszą jest brak śmiałej inicjatywy; czy jest to skutek obojętności, lenistwa myśli, czy lekkość w siły swoje niewiara, dość że brakuje nam rzutkiej pomysłowości, i dlatego torowanie dobrych dróg pracy, ubijanie ich praktyczne jest u nas większą niż gdzieindziej zasługą, a wystawa może być wielką do tego pomocą. Stosunki ekonomiczne zmieniły się u nas w zupełności; dawne źródła dochodów zanikają, a raczej wpływ ich inne przybiera kierunki i rozlewa się inaczej. Robi się koło nich ciżba większa i aby klasy pewne nie popadły w nędzę, muszą brać się energicznie do pracy. Wśród ogólnej przemiany stosunków, nie uległo jeszcze zmianie dobitne wyrażenie zeszlówickowego podróżnika Francuza, że u nas byle się schylić, podnieść coś można... Otóż odnośnie do pracy kobiecej, pragnęłabym aby wystawa, która nadchodzi, pokazała, czy nasze kobiety zabrały się do podnoszenia takiego, i jak to czynią, te, które czynią? Nigdy powtarzać nie przestane, że w kraju naszym zarobkowa praca kobiet może mieć najgłówniejsze zastosowanie swoje na wsi: przemysł rolniczy w zakres pracy kobiecej wchodzić mogący, ma tam przed sobą rozległe pole działania, na którym konkurencja nie przeszkadza jeszcze wcale. Wystawa powinna nam wykazać, czy w tym kierunku istnieje już u nas jakiś ruch poważniejszy. Dobrze zasłużoną społeczeństwu swemu, okaże się każda z tych wystawczyń, która i sama z dumą pracowitości umiętnej wystąpić będzie mogła, i dla drugih stanie się pracowitości podobnej pobudką dobrą. Wymowa faktów dobitniejsza jest nad słowa wszystkie.

W kierunku rzemieślniczo przemysłowym ruch taki zaczyna u nas coraz się zaznaczać. Jakkolwiek *Spółka zjednoczonej pracy kobiet*, mająca swój lokal przy ulicy Marszałkowskiej, jest w stanie upadku i rozwiązuje się; jakkolwiek *Szkoła rzemieślnicza dla kobiet* istniejąca przy Zielonym Placu, nie może sobie wyrobić zaufania potrzebnego, aby się rozwinęła, a zaufania tego nie budzi: najpierw przez szczególnie nietrafną tajemniczość, jaką się okrywa; powtóre, przez brak jasności w postawieniu uczeni-om warunków nauki, dzieje się to z własnej winy tych zakładów i wielka liczba kobiet szuka sobie drogi, aby dojść do założonego celu. Zakład szewski pani Eugenii Pieniążek, istniejący przy ulicy Chmielnej Nr. 9, coraz szczęśliwiej się rozwija i ma zawsze kilka chętnych uczennic, które z czasem na własną rękę pracować zamierzają. Przyrząd wynalazku szewca Lipeckiego, ułatwiający trudne dla kobiety przybijanie obcasów, zdaje się naukę rzemiosła szewskiego dla kobiety ułatwiać, i pani Pieniążek zaprowadziła u siebie jego użycie. Zgłaszają się do jej zakładu z różnych stron kraju z żądaniem wykwalifikowanych już robotnic, któreby mogły nauczać po miastach prowincjonalnych, pragnące tego kobiety.

Pani Falkiewicz, która wyuczywszy się rzemiosła w zakładzie włocławskim p. Bufla, ma tamże powierzony sobie kierunek prowadzenia pracowni szewskiej i uczenia innych kobiet, zapragnęła wydoskonalić się jeszcze w robocie warszawskiej—która słusznie uchodzi za pierwszą po paryżkiej—i obecnie pracuje w jednym z bardzo dobrych zakładów naszego miasta, aby doskonalej obeznac się z krojem i wytwornem już wykończeniem obuwia. Jaki będzie skutek tych usiłowań, *kronika* nasza doniesie. Ważną jest rzeczą, aby pierwszy zastęp kobiet pracujących w rzemiosłach, uzdolniał się należycie, bo od tego zależy zła albo dobra tradycja, która się w pracy kobiet wyrobi. Szkoła realna panny Kaweckiej istniejąca przy ulicy Waleiców pod Nr. 4, zdaje się posiadać wszystkie warunki rzetelnego i sumiennego nauczania i wróżyć jej też trzeba, że z czasem rozwinie się szczęśliwie. Uczennice pensjonarki stanowią głównie o losie każdej szkoły takiego rodzaju, a stosunkowo znaczna liczba pen-

syonarek ma z nowym rokiem szkolnym zaludnić szkołę panny Kaweckiej.

A teraz słowo rady dla jednej gałęzi pracy kobiecej, która jakkolwiek nie nowa, ale przy obecnym układzie życia na nowych ustala się warunkach. Krawiectwo kobiece nie jest dziś tem, czem było jeszcze przed laty dziesięciu. Przemysł trafnie zmiarkował, że może narzucić kobietom zbytek i przesadę, że może wypędzić dobry gust wraz z prostotą, byle tylko ciągnąć największe jak można korzyści z mody, którą dla tego czyni ekscentryczną, aby ciągłej ulegała zmianie. Weszło to już we zwyczaj, aby ubiór kobiet był przeciążony mnóstwem garniturów, co nietylko zadawałnia fabryki wyrobów, z jakich ten ubiór się tworzy, ale zdwaja, potraja nawet opłatę, jaką magazyny biorą za taką skomplikowaną i pracowitą robotę sukni. Zbytкова elegancja, jaką magazyny te odziewać się starają, aby sobie wyrabiały opinie pierwszorzędných, czyni z drugiej strony drogoscie tę niemal niezbędną, bo przecież praktyki tych magazynów opłacać muszą ich świetność. Kto tu winien? Czy przemysł, który gwałtem prawie zdobywa sobie zysk nadmierny, czy publiczność, której gusta do tego się nakłaniają, nadają nawet? to przedmiot do długiej rozprawy ekonomiczno-etycznej, na którą tu miejsca nie ma. Ale jest miejsce na słowo rady dobrej: każda kobieta, a przynajmniej jedna choć córka każdej rodziny, powinna uczyć się kroju i roboty sukien, aby robota dokonywana w domu, przestała być tak kosztowną i wytracała niejako przemysłowi środek przymusowego zdobywania na publiczności zysków zbytecznych, psujących moralność, wprowadzających zgubny zbytek i wykrzywających gust ogółu. Powinien być niewątpliwie podział pracy, ale kto uważnie bada życie rodzin, domowe życie kobiety, musi zauważać rzecz jedną, a to mianowicie, że przemysł tegoczesny, nie nasz wprawdzie, ale do nas jako towar zagraniczny wprowadzany, następuje niejako na życie rodzinne, na pracę kobiecą w domu, aby zostawiwszy ją bez zajęcia i zabrawszy w potrojonej sumie grosz, który oszczędzała rodzinie praca kobiega, wypychał ją samą na zarobek po za ściany domu, gdzie jak w błędnem kole kobieta znowu staje się pracującą maszyną w ruchu tego potężnego przemysłu, który jednak utrwała głównie przewagę kapitału, i jak roślina rozkrzewiająca się zbytnie z krzywdą innych, wyciąga największą ilość soków z gruntu społecznego. Kobieta zatem powinna może pomyśleć w zakresie swojej pracy domowej o stawieniu oporu rozwieleniowatemu się przemysłowi, usiłując robić w domu, co w domu tem zrobionem być może. Gorzej, lepiej, nie o to tu chodzi, bo najgorszą jest rozkład rodziny przez zbytek, przez forsowne wypychanie kobiety za dom; najlepszą ścieśnienie tych węzłów rodzinnych, które jedynie dają moralność i szczęście kobiecie. Jeżeli fontaż jakiś może być w domu krzywo przyszytym, to robić trzeba suknię bez fontazi.... Wymyślili je ci właśnie, którym na tem zależy, aby je przyszywano ze sztuką tego szyku, który zabija w kobiecie matkę, a szpeci córkę rodziny. Ziarno do ziarnka, tworzy się miaraka: reakcja przeciw zbytowi mogłaby się zacząć szczęśliwie od tego, aby każda naczelniczka domu miała skroić i uszyć suknię swoją i dziecka swego, bo wtedy nawet, gdy jej sama ani krajać, ani szycie nie będzie, potrafi zarządzić robotą i wezwawszy do pomocy taką szwaczkę przychodzącą, jakich przed dziesięciu jeszcze laty było mnóstwo, potrafi odziewać rodzinę skromnie, przyzwoicie i stosunkowo oszczędnie. I owe przychodnie szwaczki miałyby zarobek o wiele lepszy, niż go mają dziś, gdy pracując do świetnych, majątek robiących magazynów, ledwo wlec mogą liche istnienie.—Niedza kobiet pracujących igłą, jest też jedną z plag, która nietylko u nas stanowi ciężką ranę społeczną. Światne składy kobiecych strojów, świątynie zbytku, które psują kobietę zamożną, nie mogą przecież wyżywić do-

statecznie tej ubogiej, która tam pracuje na ów zbytek. To też tu wyraźniej niż gdziekolwiek wykazuje się fałsz tej zasady, jakoby zbytek możnych miał podtrzymywać dobrobyt klas pracujących. Nie, bogaci on tylko pojedyncze osobistości, które ze zrzęzną przebiegłością umieją korzystać z materialnej nędzy jednych, a moralnego ubóstwa drugih, gdy tymczasem kapitał świat opanowuje.

W tych dniach opuściło prasę nowe wydanie książki pod tytułem:

WSPOMOŻENIE WIERNYCH

NABOŻEŃSTWO

ZA DUSZE ZMARŁE

Cena egzemplarza kop. 50.

Rozejście się kilku edycji najlepiej przemawia za wartością książki.

Książka powyższa znajduje się do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Wyszły z druku

Zeszyty 27 i 28-my

dzieła pod tytułem:

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

z 230 ilustracyami

GUSTAWA DORÉ

jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja, zawierająca przekład

Ks. JAKÓBA WUJKA

z objaśnieniami podług Fr. Allioli,

zaaprobowana przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej

Cena zeszytu kop. 50 z przesyłką kop. 60.

Przystępujący do prenumeraty płaci tylko za zeszyty które otrzymuje i za ostatni całego dzieła.

Następnie w Warszawie płaci się po kop. 50 przy odbieraniu każdego zeszytu; z prowincyi zaś nadsyłać można na dalsze zeszyty po Rs. 2, 3, 5 lub więcej. Zeszytów będzie 62.

M. Glücksberg, Wydawca.

Przy dzisiejszym numerze „Bluszczu“ rozsyła się na prowincję *Uwiedomienie o wydaniach J. Ungra w Warszawie*. Księgarnia wydawcy Bluszczu przyjmuje na takowe prenumeratę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: *Niewiasta polska*, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — *Akacya*, (poezya). — *Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — *Listy z zagranicy*, przez J. I. Kraszewskiego. — *Ruch muzyczny*, przez Jana Kleczyńskiego. — *Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet*.